

**SAMUEL TAYLOR COLERIDGE**



***PIEŚŃ O STARYM ŻEGLARZU***

**Samuel Taylor Coleridge**

**Pieśń o starym żeglarzu**

**Przełożył Jan Kasprowicz**

.....

**Fundacja Festina Lente**

## CZEŚĆ PIERWSZA

Powstrzymał krok jednego z nich,  
Powstrzymał żeglarz stary.  
„Na siwy włos twój! Czego chcesz?  
Czego chcą ócz twych żary!

„Na oścież, patrz, drzwi rozwarł swe –  
Otworzył dom pan młody:  
Ma gości rój ten krewniak mój,  
Weselne sprawia gody.”

Położył nań swą chudą dłoń  
I „był raz okręt” – rzecze...  
„Precz, starcze! Precz z tą ręką twą!  
Puść mnie, szalony człecze!”

Puścił, lecz wlepił weń swój wzrok.  
I na tę moc żeglarza  
W miejscu weselny stanął gość  
I niby dziecię zważa.

Weselny gość na głazie siadł  
I musi bez odwłoki  
Słuchać, co mówi stary człek,  
Żeglarz płomiennoooki:

„Okrętu przód pruł bezmiar wód.  
Nie masz jak na głębinie!  
Znikł kościół już, szczyt góry znikł,  
Latarnia morska ginie.

Po lewej, hen! Z odmętu fal  
Wznosi się słońko boże  
I pnie się, pnie i blaski swe  
Z prawej zatapia w morze.

I pnie się, pnie w południa czas  
Nad masztem lśniąć najświetniej” –  
Ma starca dość weselny gość:  
Usłyszał granie fletni.

Jak róży kwiat w świąteczny dom  
Oblubienica wchodzi,  
Wesoło przed nią głowy swe  
Chylą grajkowie młodzi!

Ma już go dość weselny gość,  
Lecz musi bez odwłoki  
Słuchać, co mówi stary człek,  
Żeglarz płomiennooki:

„Lecz potem wicher rozpoczął dać,  
A wicher to był szalony,  
Walił skrzydłami w okręt nasz,  
W południa pędził strony.

Z masztami w skos, w pianach po brzeg,  
Jak niby on ścigany człek  
Na wroga cień, gdy pędząc, wbiegł,  
Przedsię schyliwszy głowę,  
Tak okręt mknął, a wicher dał  
Na wody południowe.

I przyszedł śnieg, i straszne mgły,  
I mróz jął wstrząsać nami,  
Nad masztu szczyt zielony lód  
Przypływał k’nam falami.

I śnieżny zwał bladawe siał  
Promienie przez szczeliny:  
I wzdłuż, i wszerz ni człek, ni zwierz,  
A tylko lód był siny.

Gdzie padnie wzrok, tam lodu tłok,  
Zrąb piętrzy się na zrębie,  
Za złomem złom, z hukiem, jak grom,  
Krajał te morskie głębie.

Wtem wzbił się ptak na górny szlak,  
Na mgliste, hen, niebiososa:  
Jakby to był żyjący człek,  
Witamy albatrosa.

By druh czy brat, on z rąk nam jadł,  
Wciąż krążył nad okrętem.  
I rozpękł lód, i statku przód  
Morzem popłynął wzdętym.

Na tyłach wiatr z południa wiał,  
Nad nami ptak się waży  
I co dzień w mig, na majtka krzyk,  
Zlatuje do żeglarzy.

Na masztach on swój miewał schron  
Przez mglistych dziewięć nocy,  
A spoza gór skłębionych chmur  
Lśnił księżyc w białej mocy.”

Skąd taki wzrok? Żeglarzu, mów!  
Niech strzegą cię niebiososa!”  
„Ukarz mnie, Bóg! Do ręki łuk –  
Zabiłem albatrosa!”

## CZEŚĆ DRUGA

„Po prawej już z odmętu fal  
Wstawało słońko boże,  
I poprzez mgły chyliło się,  
By z lewej zapaść w morze.

Na tyłach wiatr z południa wiał,  
Lecz ptak się już nie waży,  
Na majtka krzyk nie leci w mig  
Po jadło z rąk żeglarzy.

Piekielny-m ja popełnił czyn,  
Druhowie złorzeczyli,  
Że zginął ptak, co na nasz szlak  
Dał dobry wiatr w złej chwili.  
„Tyś łotr i cham! On przywiódł nam  
Szczęśliwy wiatr w złej chwili!”

Nad morza toń, jak boża skroń  
Jawi się słońce złote:  
„Padł z rąk twych ptak, co na nasz szlak  
Zwiał” – rzekli – „mgłę i słotę.  
Wygodził nam, że zabił sam  
Ptaka, co przyniósł słotę.”

Wiatr dobry dmie, w pian srebrnej mgle  
Swobodnie okręt płynie;  
My z ludzi snąć pierwsza tu brać  
Na cichej tej głębinie.

Wiatr przestał dąć: ha! Smutno w krąg  
I żagle smutnie wiszą:  
„Mów-że ty, mów! Trzeba nam słów,  
Bo strach z tą morską ciszą.”

Niebieski strop, jak w żarach miedź,  
A słońca twarz płonąca  
Rozkrwawia się nad masztem wprost,  
Niewiększa od miesiąca.

Tak dzień po dniu bez wiatrów tchu,  
Bez ruchu myśmy stali,  
Jak malowany statku wzór  
Na malowanej fali.

Gdzie wzrok twój padł, tak wody świat,  
A łódź się w ogień zmienia –  
Wody był świat, gdzie wzrok twój padł,  
A człowiek marł z pragnienia.

I morza głąb snadź gniła już!  
O Chryste! Cóż się stanie?  
Mulisty płaz leniwie laźł  
Po mulnym oceanie.

A wśród tych mąk, gdyś spojrział w krąg,  
Ognie umarłych płoną:  
Widziałeś toń, jak olej wiedźm,  
Niebieską, białą, zieloną.

A w naszych snach, nieszczęścia duch  
Głuchymi straszył słowy,  
Że nas na dziewięć sążni w głąb  
Od strefy gna śniegowej.

U wszystkich nas wyschnięta krtąń,  
I język już bez władzy,  
Zamarł już głos, jakby nam kto  
Nasypał w gardziel sadzy.

Ach! Co za wzrok mi każdy śle  
I jak się do mnie zbliża!  
I na mym karku zawisł raz  
Albatros zamiast krzyża.”

### CZEŚĆ TRZECIA

„Przeminął długi, długi czas!  
Krtąń wyschła, szklą się oczy!  
Ach! Jakiż długi, długi czas –  
Jak szklą się wszystkim oczy!  
Wtem na zachodni patrząc strop,  
Wzrok mój coś w dali zoczy.

Wprzód niby coś jak plamki cień,  
Potem jak mgielka szczera,  
A potem, wciąż ruszając się,  
Jakowyś kształt przybiera.

Cień plamki, mgła i jakiś kształt,  
A ku nam ciągle dąży:  
Jakby igrało z duchem wód,  
Nurza się, wije, krąży.

Spiekota warg, ni łez, ni skarg  
Pośród ginącej rzeszy!  
Zgłuchł wszelki zew, wtem – boży gniew! –  
Wgryzę się w ramię, wysnę krew  
I krzykną: „Okręt spieszy!”



Spiekota warg, ni łez, ni skarg!  
Zdumienie ich ogarnia!  
Na licach mrze radosny śmiech,  
Jakby pić chcieli, tak chłoną dech –  
Straszliwa to męczarnia!

Hej! – wołam – hej! Spokojnie łódź  
Z zbawieniem ku nam płynie!  
Bez wiatrów tchu, bez szumu fal  
Toczy się po głębinie.

Zachodnią głąb spłomienił żar,  
Dobiegał dzień do końca!  
Ogniami łśni zachodnia głąb,  
Pali się okrag słońca!  
Wtem jakiś kształt oddzielił nas  
Od płonącego słońca.

I słońce plam pokrajał rząd  
(O boska chroń Dziewico!),  
Patrzało k'nam jak spoza krat  
Płomienne jego lico.

Ha! Jak mi serce w łonie drży!  
Łódź mknie coraz to prędzej!  
Jej-li to żagle w słońcu łnią  
Jak biel pajęczej przędzy?

Przez jej to żebra słońca twarz  
Przeziera z blasków wieńcem?  
Jedna kobieta jest-li tam?  
Czy jest ich dwoje? Mór to sam?  
Mór-że jej oblubieńcem?

Czelny jej wzrok, a złota cud  
Jej włos, na ustach spieka,  
Skóra jak biały trądu wrzód –  
To Upiorzyca, ta, co w lód

Przemienia krew człowieka.

Zrównał się z naszym statku zrab –  
Ci w kości grają!... Piekła!...  
„Skończona gra! Wygrałam ja!” –  
Z trzykrotnym gwizdem rzekła.

Zgasł słońca żar, już gwiazdy drżą,  
Już ciemna noc przychodzi,  
Z cichym szelestem sunie w dal  
Widmo tej strasznej łodzi.

Słuchamy wciąż, szukamy w mgłach!  
Jak wino z czary, tak mi strach  
Pił z łona krew żywota.  
Spotęzniał mrok, gwiazd przygasł rój;  
Przy lampie blady sternik mój –  
Skryta nim rozpacz miota.  
Z żagli ściekają krople ros,  
Księżyc swój srebrny rozwiął włos,  
Przy nim lśni gwiazda złota.

I wszystek lud w oblasku tym  
W mą stronę wzrokiem toczy:  
Upiorny strach na twarzach siadł,  
Przekleństwo ślą mi oczy.

Ni głośny żal, ni głośny jęk,  
A tylko smutek szczery:  
Z głuchym łoskotem padło ich  
Pięćdziesiąt razy cztery.

Ulatywały dusze z ciał  
Na los zły lub szczęśliwy,  
Każda z szelestem obok mnie,  
Jak mojej świst cięciwy,”

## CZEŚĆ CZWARTA

„Stary żeglarzu, boję się,  
Boję się ócz twych blasku!  
Długiś i smukły i ciemnyś ty,  
Jak skiby morskiego piasku.\*

Boję się żaru twoich ócz,  
Chudej się ręki boję...”  
„Weselny gościu, nie bój się!  
Nie zmarło ciało moje.

Sam byłem, sam! Ach! Strasznie sam  
Na tej bezmiernej fali –  
Nie wspiera duszy mojej Bóg,  
Nikt nad nią się nie żali.

Tylu ich było! Dzielny lud!  
A dziś pomiędzy zmarłymi!  
Żył-li bagiennych płazów rój,  
Ach! I ja żyłem z nimi.

Spojrzę na bezmiar zgniłych wód  
I wzrok odwrócę od toni!  
Spojrzę na zgniły pokład nasz,  
A tutaj leżą oni!

-----

\*Ostatnie wiersze tej zwrotki zawdzięczam p. Wardsworthowi. Plan tego poematu powziąłem i po części wykonałem podczas uroczej podróży z Nethey Stowey do Dulveron, w jesieni 1797, w towarzystwie jego i jego siostry.

Spojrzę ku niebu – modłów chcę –  
Warga się ledwie rusza:  
Szept jeno zdrożny wyszedł z niej,  
Wyschła już moja dusza.

Zamknę powieki, lecz jak puls  
Żrenice w nie uderzą:  
Gniecie je niebios wielki grób,  
Gniecie je morze, a u stóp –  
U stóp mych trupy leżą.

Nie tknął ich rozkład, z martwych ciał  
Pot lodowy spływa,  
We mnie wlepiony wszystkich wzrok,  
Żrenica jakby żywa!

Klątwa sieroty może nas  
W piekielne strącić ciemnie:  
Ale przekleństwo trupich ocz  
Straszniej się wpiło we mnie!  
Dni, nocy siedm patrzałem w nie  
I marłem – nadaremnie!

I znów się cichy księżyc wzniosł  
Nad moje to pustkowie,  
Przy nim zaledwie kilka gwiazd! –  
Któż smutek mój wypowie!

Na fale księżyc blask swój siał  
Niby kwietniowe szrony,  
Lecz gdzie okrętu leżał cień,  
Tam na głębinie, w noc i w dzień,  
Mienił się żar czerwony.

W cieniu okrętu miałem raz  
Zjawisko morskich węży:  
Śnieżny za nimi błyszczał ślad,  
Lub w płatkach spadał blask, gdy gad

W górę swój grzbiet wypręży.

W cieniu okrętu jakże lśnił  
Bogaty czar ich skóry!  
Śród aksamitno-czarnych praż  
Błękit i zieleń, a zaś w krąg –  
Ich śladem – łysk purpury.

Szczęśne stworzenia! Gdzież ten człek,  
Co by ich czar wyjawiał!  
Miłość trysnęła w łonie mym  
I jam je błogosławił!  
Bóg mi okazał litość swą  
I jam je błogosławił...

W tej samej chwili mogłem już  
Do modłów złożyć dłonie:  
I z szyi mej albatros sam  
Gdzieś w morskie upadł łonie.

O śnie! Rozkoszny, drogi śnie  
Po wszystkie krańce ziemi!  
Królowo Niebios, dzięki ci!  
Sen mi po klęsce strasznych dni  
Zjednałaś prośby swymi.

Śniłem, że naszych wiader rząd  
– A było ich niemało –  
Wodą wypełnił się po brzeg...  
Gdym zbudził się, padało.

Zwilżone-m wargi miał i krtań!  
Wilgotne szary moje!  
Snać we śnie-m pił i jeszcze wciąż  
S[ranione wnętrze poję.

Wstałem – zaledwiem kości czuł!  
Ach! Co za lekkość błoga!

Śnać we śnie-m zmarł i jestem już  
Duchem u Pana Boga.

A wtem usłyszę dziki świst!  
To wichur zawył nagle!  
W oddali wiał lecz w szumie tym  
Trzęsły się maszt i żagle.

Góram, w powietrzu, życie wre!  
Sto flag ognistych płonie!  
Wskroś zygzakami przestwór tną,  
A pośród wstęg ich gwiazdy lśnią,  
W wyblakłej lśnią koronie.

Coraz to bliżej wichur dmie,  
Żagle jak trzcina szumią;  
Gdy nadszedł świt, bezwładnie maszt  
Objęły ich ramiona.  
I popłynęła pieśń im z ust,  
Pieśń słodka i natchniona.

Płynął im z łon przedziwny ton  
Do wschodzącego słońca,  
I wracał znów, to sam, to współ,  
I cudnie brzmiał bez końca.

Raz mi się zdało, że to hen  
Trele skowronka płyną,  
To znów, że cały ptasząt rój  
Zagrał w przestworach pean swój,  
Wzbiwszy się nad głębiną.

Raz niby-m słyszał jakiś chór,  
To znowu fletni głosy,  
Lub też anioła rajski śpiew,  
Że milczą w krąg niebiosy.

Ścichło... Lecz w żaglach grała wciąż  
Tych słodkich brzmień ulewa –  
Aż do południa, jak ten zdrój,  
Co skrył się między drzewa  
I w noc czerwcową, cichą noc,  
Lasem swe pieśni śpiewa.

Aż do południa statek nasz  
Śród ciszy mknął łagodnej;  
Żaden go wiatr nie pędził w dal  
Po tej przestrzeni wodnej.

Spodem, na dziewięć sążni w głąb,  
Ukrył się duch z dziedziny  
Śniegu i mgieł, i on to parł  
Nasz okręt – on jedyny.  
W południe w żaglach zmiłkła pieśń,  
Przystały dźwięczeć liny.

I okręt stanął... Z góry wprost,  
Znad masztu, w wód przezroczy  
Uwięzło słońce, w morza toń  
Wlepiło swoje oczy...  
A potem – nagle – w przód i wstecz  
W dziki się tan potoczy.

I jak spłoszony potem koń  
Skok czyni karkołomny:  
Krwi-m uderzenie uczuł wraz  
I padłem nieprzytomny.

Nie powiem ci, jak długom tak  
W półmartwym leżał stanie,  
Lecz nim się jeszcze zbudził duch,  
Rychłom usłyszał głosów dwóch  
Przedziwne gdzieś wołanie.

„Powiedz!” – tak wołał jeden z nich –  
„Na Zbawcę! Na niebiosia!  
Czy to ten wróg, którego łuk  
Uśmiercił albatrosa?”

Duch, mieszkający w strefach mgieł  
I śniegu, żywił serce  
Dla tego ptaka, a sam, ptak  
Miłował swego znów mordercę?”

A drugi głos łagodny był –  
Słodkie, jak miód, orędzie!  
„On” – rzekł – „pokutę spełnił już  
I jeszcze spełniać będzie!”

## CZEŚĆ SZÓSTA

### GŁOS PIERWSZY

„Mów, bracie, mów! Niech język twój  
Przemawiać się nie wzbrania:  
Powiedz, co robi morze to?  
Kto okręt ten pogania?”

### GŁOS DRUGI

„Jak w służbie człek przed panem swym,  
Tak morza toń milcząca  
Rozwartym okiem patrzy wciąż  
W srebrzystą twarz miesiąca.

A on czyż wie, gdzie wieść je ma –  
Boć on kieruje morzem!



Odwróć się doń, patrz, jak on toń  
Spojrzeniem pieści bożym.”

#### GŁOS PIERWSZY

„Lecz powiedz mi, jak okręt ten  
Bez wiatru mknie i fali?”

#### GŁOS DRUGI

„Za nim obcina się ich prąd,  
Nie idzie przed nim dalej.

Hej, bracie, hej! Do wyży swej  
Uchodźmy – zwłoka szkodzi!  
Gdy żeglarz ten swój prześni sen,  
Zwolnieje bieg tej łodzi!”

Zbudziłem się. Płyniemy snadź  
Na sprzyjającej toni.  
Księżycyca moc rozprasza noc,  
A przy mnie stoją – oni!

Tak! Na pokładzie stoją wciąż,  
Zamiast spoczywać w trumnie!  
W blasku miesięcznym blask ich ócz  
Ciągłe się zwraca ku mnie.

Klątwa i ból śmiertelnych chwil  
Wciąż im się w oczach szklily:  
Chciałem się cofnąć, modlić się,  
Ale mi zbrakło siły...

Pierzchły uroki... Oto znów  
Spojrzałem po głębinie,  
Lecz co zobaczył wprzód mój wzrok,  
Tylem też widział ninie.

Byłem jak człek, co biegnie gdzieś  
Odludziem, zdjęty trwogą:  
Spojrzał raz wstecz i oczy już  
Odwrócić się nie mogą!  
Spostrzegły – ach! – że straszny wróg  
Podąża za nim drogą.

Wtem zawiał wiatr... Łagodny wiatr  
Dotknął się mojej skroni;  
Nad morzem szedł, nie krając wód,  
Nie marszcząc gładkiej toni.

Podnosił włos, głaskał mi twarz,  
Jak słodkie tchnienie wiosny;  
Zdawał się igrać z trwogą mą,  
A spokój niósł radosny.

Chyżo, chyżo okręt mknął,  
Lekką się pianą zlewał;  
Cicho, cicho wicher wiał,  
A ku mnie wciąż zawiewał.

O śnie rozkoszny! Czyż to blask  
Tej naszej morskiej wieży?  
Kościół to mój na wzgórzu tam?  
Moich to pas wybrzeży?

Wjeżdżamy w port... O Boże mój,  
Nie skąp mi swej opieki!  
Spraw, bym się zaraz zbudzić mógł,  
Albo niech śpię na wieki!

Śród ciszy w krąg zatoki toń  
Lustrzane miała lica:  
To księżyc legł na wody ścieg,  
To leżał cień księżycyca.

Lśnił skały szczyt i kościół lśnił,  
Co na tym szczycie leży,  
W miesięcznych blasków cichych skrach  
Kapał się kur na wieży.

W miesięcznych skrach zatoki toń –  
Wtem z głębi jej, ku górze,  
Jakichś się cieniów podniósł huf,  
A każdy był w purpurze.

Tuż przy mym statku stały wraz  
Te cienie płomieniste!  
Zwróciłem znów na pokład wzrok –  
I cóżem ujrzał?!... Chryste!

Pokotem trup przyz trupie legł,  
A zaś – o Krzyżu Święty! –  
Nad każdym lśnił anielski duch,  
Serafin wniebowzięty.

Cicho, bez słów anielski huf  
Wabi mnie, wzniosłszy dłonie,  
A każdy z nich, jak zbawczy znak  
Od lądu, w ognjach płonie.

Cichy, bez słów anielski huf –  
I z miejsca się nie ruszy!  
Lecz jak muzyka, tak mi szła  
Ta cisza do mej duszy.

A wtem retmana słyszę głos  
I pluskające wiosła:  
Odwrócę głowę – ach! To łódź,  
Łódź ku mnie woda niosła.

To retman, tak! I jego syn!  
Zaraz się do mnie zwróć!  
O jaka rozkosz! Tej mi już

Zmarli snąć nie zakłóca.

Jest i ktoś trzeci – słyszę go...  
To nasz pustelnik! Chwali  
Stwórcę tą pieśnią, którą sam  
Wysnuł w swej leśnej dali.  
On z rąk mi ptaka zmyje krew!  
On duszę mi ocali!

### **CZEŚĆ SIÓDMA**

Pustelnik on ma w puszczy schron,  
Nad morzem schron ma błogi.  
Pieśń jego zbożna idzie w świat;  
On nas, żeglarzy, wita rad,  
Powracających z drogi.

Do modłów klęka w noc i dzień  
W zielonej swej dąbrowie;  
Mchami porosły dębu pień  
To jego jest wezglowie.

Zbliża się łódź... „Ha! Dziwna rzecz!”  
– Tak, słyszę, mówią oni –  
„Gdzie się podziały światła te,  
Ten znak na morskiej toni?”

Tam uszy – mówi święty mąż –  
Są na nasz okrzyk głuche!  
Lecz patrz na zeszcłe dyle te!  
Patrz na te żagle suche!  
Cóż podobnego widział kto?  
Chyba, że w zawieruchę

Szkielety drzew, co w puszczy mej  
Chylą się nad mą wodę,  
Gdy sowy huk napełnia bór,  
Dla wycia wilka godny wtór,  
Żrącego wilczę młode.”

„Panie!” – rzekł retman – „boję się!  
Tam licho nas przywita!”  
„Płyn naprzód, płyn! Bez trwogi płyn!”  
Odpowie eremita.

Coraz to bliżej sunie łódź –  
Lecz jam był skamieniały!  
Już się ze statkiem równa łódź –  
Wtem grzmoty-ż to zagrzmiały!”

Spod wody szedł ten straszny trzask,  
Coraz to głośniejsz, dalej:  
Dosięgnął statku, rozdarł toń –  
Statek się zapadł w fali.

Ogłuszony hukiem, który znać  
W niebo i morze godzi,  
Byłem, jak on topielca trup,  
Miotany w fal powodzi,  
A wtem się naraz, niby w śnie,  
Ujrzę w retmana łodzi.

Śród wiru, pian, gdzie okręt znikł,  
Łódź krąży, łódź się nurza...  
Ucichło wszystko, tylko wieść  
O huku szła od wzgórza.

Ruszyłem usta; retman w krzyk –  
Wraz go zabiła trwoga!  
Pustelnik oczy w górę wznosił  
I modlił się do Boga.

Ja wiosła w dłoń! Retmana syn  
– Do dziś szalony zgoła –  
Zaśmiał się w głos i, dzikich ocz  
Ciskając skry dokoła,  
„Ha! Ha!” – jął krzyczeć – „teraz wiem,  
Jak czart wiosłować zdoła!”

Potem uczulem stały ląd –  
Ojczysty kraju miły!  
Pustelnik łódź rzuciwszy swą,  
Zaledwie stać miał siły.

„Daj rozgrzeszenie, księżu, daj!”  
On, jakby chciał mieć pieczę,  
Wprzód się przeżegnał, potem rzekł:  
„Powiedz, kim jesteś, człeczko?”

I ciało moje przebiegł dreszcz,  
I zdjął mnie ból złowrogi:  
Opowiedziałem dzieje me  
I byłem już bez trwogi.

Od tego czasu nieraz, ach!  
Ten ból się na mnie wali –  
I opowiadam powieść swą,  
Bo mi się serce spali.

I z kraju w kraj, jak ciemna noc,  
Tak ja podążać muszę;  
A komu z lic wyczytam wieść,  
Że może żal mój ciężki znieść,  
Temu otwieram duszę...

Hałas się wzmógł, weselny próg  
Zalewa fala żywa,  
W ogrodzie brzmi poślubna pieśń,  
W przestworach się rozplywa,

A tam wieczorny dzwoni dzwon,  
Co mnie do modłów wzywa.

Samotną była dusza ta  
Wśród bezmiernego morza –  
Tak, że nie mogła prawie czuć,  
Czy jest gdzie Istność boża.

Dla mnie – weselny gościu, wierz –  
Nad wszystko jest wesele,  
Gdy do kościoła mogę iść,  
Gdzie lud się kornie ściele.

Gdy do kościoła mogę iść  
I padać na kolana –  
Gdzie wszyscy, starcy, dzieci, młódź  
Jedyną tylko żywią chuć,  
Aby uwielbiać Pana.

Bądź zdrów! Bądź zdrów i pomny słów,  
Że ten się modli szczerze,  
Kto szczerze kocha wszelki płód –  
Człowieka, ptaka, zwierzę.

Kto szczerze kocha wszelki płód,  
Ten modli się najprościej:  
Bóg, co nas kocha, stworzył świat  
I ma go w swej miłości.”

Oddalił się ten siwy człek,  
Żeglarz płomiennooki,  
A za nim w ślad weselny gość  
Do domu zwrócił kroki.

W głębokiej wskroś zadumie szedł  
Od uczujących ludzi:  
Jutro się z rana mędrszym on  
I posepniejszym zbudzi.

Samuel Taylor Coleridge  
*Pieśń o starym żeglarzu*  
Tytuł oryginału:  
*The Rime of the Ancient Mariner*

Redakcja: *Hanna Milewska*

Na okładce wykorzystano ilustrację Gustave'a Doré  
Z pierwszego niemieckiego wydania utworu Coleridge'a

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2015

Warszawa 2016

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)